


R O Z D Z I A Ł I X

NOWY KIERUNEK POSZUKIWAŃ



Zima, 30 stycznia 1868 roku. To był zupełnie zwykły, czwartkowy wieczór. Słońce już dawno schowało się za horyzont. Ludzie w większości byli w domach, niektórzy wracali z podróży bądź uczestniczyli w wieczornym nabożeństwie. Pod butami skrzypiał śnieg, a po niebie przesuwały się liczne chmury. Nic szczególnego nie zapowiadało tego, co miało się wydarzyć chwilę później.

Tymczasem masywna bryła skalna, która wcześniej odłączyła się od ciała macierzystego (planetoidy Hebe)*, napotkała na swojej drodze naszą planetę i nie pytając nikogo o zgodę, wtargnęła w ziemską atmosferę.

W Rawiczu oddalonym o około 300 kilometrów od Pułtusza trwał właśnie koncert w murach ewangelickiego kościoła. To nie były czasy, w których energia elektryczna

* Badania sugerują, że meteoryty pułtuskie przybyły do nas z wewnętrznego pasa planetoid, gdzie pierwotnie były one częścią planetoidy (6) Hebe.

rozświetlała pomieszczenia tak jak dzisiaj. Główne źródła światła stanowiły wtedy łuczywa i świece, a także pierwsze lampy naftowe. Nic więc dziwnego, że kiedy na zachodniej ścianie budynku pojawiła się niewiadomego pochodzenia fioletowa łuna, muzyka zamilkła w jednej chwili, a ludzie stanęli w przestkach. Tymczasem intensywność wpadającego przez okna światła gwałtownie narastała, rzucając na ściany rozmaite cienie i powidoki. Jedna z kobiet omdlała. Reszta zebranych rzuciła się na oślep do ucieczki. Ludzie wpadali na siebie wzajemnie i potykali się na schodach prowadzących do wyjścia. W wyniku tego zajścia kilkanaście osób zostało pokiereszowanych, z czego kilka poważnie¹⁵.

W dawnej prasie można odnaleźć wiele interesujących relacji z tego wydarzenia. Prześledźmy niektóre z nich.

Okolice Lublina (200 kilometrów od miejsca spadku):

We czwartek, 18 (30) stycznia, zaraz po godzinie 7-ej, miasto nasze przerażone zostało nadzwyczajnym blaskiem, który*

* Różnice w datach podawanych w XIX-wiecznych gazetach wynikają z faktu przechodzenia od dat starego porządku na daty nowego porządku. Kiedy według nowszego kalendarza gregoriańskiego wypadał 30 stycznia, w starym kalendarzu juliańskim był to 18 stycznia (różnica pomiędzy kalendarzami w latach 1800–1899 wynosiła 12 dni).

oświecił miasto na kilka sekund, z początku światłem białym, niebieskawym, podobnym do bengalskiego, w końcu zaś czerwonym. Na pewien znaczny czas przed tem zjawiskiem ukazały się na niebie dwie nowe jakieś gwiazdy ruchome, wyróżniające się od innych tak wielkością, jak i szczególnym swym blaskiem. Nie ręcząc za prawdę tego, co słyszeliśmy od świadków naocznych, komunikujemy, że dziwne te zjawisko ukazało się w następujący sposób: na jasnym firmamencie południowo-zachodnim, wzniosła się wspaniale kula ognista, pozostawiając za sobą smugę światła, na podobieństwo ogona. Przesunąwszy się szybko po niebie, mimo tych nowych gwiazd, meteor pękł, sypiąc iskry i oświetlając daleko całą okolicę⁶.

Warszawa (60 kilometrów od miejsca spadku):

Dnia onegdajszego, 30 stycznia, o godzinie 7-ej wieczorem, przy dobrym zmroku, zaimprovizowaną została dla Warszawy prawdziwa niespodzianka, iluminacja powietrzna, którą trudno jest opisać. Osoby znajdujące się w mieszkaniach ujrzały się nagle jak gdyby w płomieniach, a najdrobniejsze szczegóły były dla nich widzialne, jak gdyby w jasny dzień. Znajdujący się na ulicach mieli widok wspanialszy, bo nie tylko także samo światło ogarnęło ich, ale nadto widzieli oni i źródło, z kąd potok światła wypływa, ujrzeni bowiem w powietrzu dość wolno przesuującą się kulę ognistą z południo-zachodu na

północo-wschód, po za którą ciągnął się długi, w tęczowe barwy strojny ogon płomienisty. Jedni zaś i drudzy, po upływie kilku minut od chwili ukazania się tej dziwnej luny, usłyszeli huk, podobny do huku odległego grzmotu, albo raczej turkotu kilku toczących się po bruku powozów, z tej właśnie strony, w którą powędrowała owa kula ognista¹⁷.

Gostynin[Gołymin?]* (około 20 kilometrów od miejsca spadku):

Dnia 18-go stycznia – powiada ksiądz Górski – jechałem do Pułtuska i około godziny 7-ej zatrzymałem się we wsi Gostyninie, o wiorst blisko 20 od Pułtuska, żeby popaść konie. W tej samej chwili na południowo-zachodniej stronie horyzontu ukazało się światło, prawie takie jak przy wschodzie słońca. Nagle ognista, kulista masa, z nadzwyczajną szybkością (3-4 sekund) przeleciała nad horyzontem, na nieznacznej chyba wysokości, gdyż po bardzo krótkiej chwili, słychać było przeciągły szum. Kiedy zaś ten meteor padał za horyzont, prawie w prostopadłym kierunku, rozrzucił świecące się odłamy, a wkrótce, nie

* Analizując zarówno współczesne, jak i stare mapy, nie znalazłem żadnego Gostynina oddalonego o blisko dwadzieścia wiorst (około 21 kilometrów) od Pułtuska. Natomiast 19 kilometrów na północny zachód od tego miasta znajduje się Gołymin. Możliwe, że jest to pomyłka w spisywaniu relacji lub jej przepisywaniu (Gołyminie/Gostyninie).

*dłużej jak w dwie minuty, rozległ się taki silny huk, że wszystkie szyby w oknach zadrgały*¹⁸.

Z uwagi na niecodzienną naturę zjawiska oraz staropolską pisownię powyższe relacje mogą się wydawać nieco bajkowe (żeby nie powiedzieć: koloryzowane). Nic bardziej mylnego. Dostępna dzisiaj wiedza jasno wskazuje na to, że świadkowie opisali swoje obserwacje dostatecznie precyzyjnie. Także w tych fragmentach, gdzie napisano o „sypiących się iskrach” czy „rozzucaniu świecących odłamów”. Słowa te doskonale obrazują fragmentację ciała kosmicznego, które w trakcie przelotu atmosferycznego rozdzieliło się na wiele mniejszych kawałków, a potem spadło na Ziemię w postaci obfitego deszczu meteorytów. Fragmenty skalne pochodzenia pozaziemskiego rozsypały się na długości około dwudziestu kilometrów, pokrywając obszar od Wielgolasu i Obrytego, przez Rowy i Stary Sielc, aż po Rzewnie i Boruty. Istnieją doniesienia o pojedynczych meteorytach znalezionych także dalej na północ, w stronę Różana*.

* Prawdziwość tych doniesień potwierdził Marcin Hajwos, który osobiście dotarł do osoby będącej w posiadaniu meteorytu pułtuskiego znalezionej na północ od Różana. Niestety właściciel nie chce go udostępnić dla dokładniejszego obejrzenia i zbadania, gdyż jest to przekazywana z pokolenia na pokolenie rodzinna pamiątka. Marcin, mając okazję obejrzeć ten okaz osobiście, oszacował, że jest większy niż meteoryt wystawiony w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Ten ostatni waży ponad 9 kilogramów.

Największe okazy ważyły po kilka kilogramów, a najmniejsze, nazywane grochem pułtuskim, po parę gramów.

Krótko po wystąpieniu pułtuskiego deszczu meteorytowego, jeszcze w roku 1868, na miejsce przybyli badacze wydelegowani przez Szkołę Główną Warszawską: prof. matematyki i fizyki Tytus Babczyński oraz adiunkt warszawskiego Obserwatorium Astronomicznego Karol Deike. Naukowcy uzyskali od okolicznych mieszkańców liczne relacje naocznych świadków oraz zebrali okazy odnalezionych meteorytów. W ramach wyjazdów odbywających się pod egidą SGW zebrano około 400 meteorytów różnej wielkości. Warto jednak zauważyć, że wielu z nich nie udało się podjąć po spadku z uwagi na trudne warunki pogodowe lub terenowe. Ówczesna prasa relacjonowała badania Babczyńskiego i Deikego następująco:

Imponujące i niezbadane to zjawisko szło od południo-zachodu ku północno-wschodowi, a pierwsze ślady takowego, mianowicie kamienie najdrobniejsze widzieć się dają pod wsią Obryte (w powiecie pułtuskim), następnie kamienie spadłe, znajduwane są coraz większe, a rozsypane są takowe na gruntach wsi Zamski, Gostków, Rury (w tymże*

* Najprawdopodobniej chodzi tutaj o wsie: Zamski, Gostków i Rowy.

powiecie), na rzece Narwi, tudzież we wsiach: Sielc-Stary i Sielc-Nowy, po drugiej stronie tej rzeki, to jest w powiecie makowskim położonych. Największy z takowych kamieni spadły najdalej, to jest o pięć wiorst od pierwszego, znaleziono w Nowym-Sielcu, a ważny on funtów 9 i pół. Ilości wszystkich kamieni trudno oznaczyć, gdyż takowe spadły także w miejscach niedostępnych, wpadły w wodę, lub śniegiem są zasypane; pp. Babczyński i Deike, zebrali jednak około półtora centnara** takowych, i przywieźli je do Warszawy¹⁹.*



Od pewnego czasu z zainteresowaniem śledziłem kanał o nazwie astrokosmo, prowadzony na YouTube przez Janusza Kosmowskiego i poświęcony jego wieloletnim poszukiwaniom pozostałości po jednym z największych deszczów meteorytowych, jaki wystąpił w XIX wieku pod Pułtuskim. Miałem też przyjemność rozmawiać z Januszem osobiście,

* W czasach Królestwa Polskiego waga funta nowopolskiego wynosiła w zaokrągleniu 0,4 kilograma, więc meteoryt ten ważył 3,8 kilograma.

** Cetnar polski był ówczasie nazywany centnarem i występował w dwóch rodzajach miary: centnar lwowski o wadze 51,84 kilograma oraz centnar warszawski wynoszący 64,8 kilograma.

choć chociaż jedynie telefonicznie i przez internet. To niezwykle sympatyczny człowiek z ogromną wiedzą i równie wielkim sercem, zaangażowany w rozmaite inicjatywy edukacyjne i charytatywne. Pierwszy meteoryt pułtuski znalazł po 3 latach intensywnych poszukiwań, po czym przekazał go całkowicie nieodpłatnie Muzeum Regionalnemu w Pułtusku.

Meteority pułtuskie – chociaż rozsypały się w tysiącach okazów na obszarze wielu kilometrów kwadratowych – są uznawane za trudniejsze do odszukania niż meteority Morasko. Świadczy o tym chociażby ich kilkakrotnie wyższa cena rynkowa. W dużej mierze wynika to z faktu, że meteoryt Morasko składa się w głównej masie z metalicznego żelaza. Ta jego cecha powoduje, że jest stosunkowo łatwy do namierzenia przez właściwie dowolny wykrywacz metali. Z kolei meteoryt Pułtusk to chondryt zwyczajny, zbudowany głównie z materiałów krzemianowych i zawierający w swoim składzie jedynie dodatek żelaza. Nie każdy detektor jest w stanie namierzyć taki cel, a te, które to potrafią, najczęściej pracują na granicznych ustawieniach, bo dopiero wtedy są w stanie zasygnalizować meteoryt kamienny lub ziemską skałę o podobnej charakterystyce. O ile namierzenie meteorytu żelaznego można porównać do szukania igły w pudełku z guzikami, o tyle poszukiwanie chondrytu należałoby określić raczej jako szukanie tej igły w stogu siana.

Dlatego właśnie początkowo zdecydowałem się na Morasko i tam upatrywałem większych szans powodzenia. Jednak

Astrokosmo, opowiadając o własnej pasji, a może przede wszystkim prezentując w swoich filmach dzikie nadnarwiańskie pejzaże, skutecznie zaraził mnie rozmyślaniami nad nowym kierunkiem poszukiwań kosmicznej materii. Na pewno swoje trzy grosze do tych przemyśleń dołożyła też porażka projektu Morasko, który pochłoniął masę mojej energii, a przyniósł tylko rozczarowanie. Tym sposobem zrodziła się w mojej głowie myśl, a następnie pojawiła decyzja, aby zaplanować nową wyprawę i odwiedzić południowy skraj elipsy pułtuskiej.

Niby wiedziałem już, że próba odnalezienia kawałka kosmosu, który wylądował na Ziemi, jest karkołomnym przedsięwzięciem, a mimo to zwątpienie i rezygnacja nie chciały nadejść. Wręcz przeciwnie: w całkowicie niezrozumiały sposób, im trudniejsze wydawało mi się to zadanie, tym czułem większą motywację do działania. No bo cóż to za rarytas, który miałby leżeć na każdym kroku i jedynie czekać, aż ktoś się po niego schyli od niechcenia? Nie ma przecież w takim niczego specjalnie interesującego. Co innego skarb, którego nie da się osiągnąć ot tak. Taki, który był poszukiwany przez wielu, ale nadal nie został odnaleziony. A jednocześnie z dużym prawdopodobieństwem nadal gdzieś tam jest i czeka na odkrycie.

Wzmianki w dawnej prasie, o meteorytach, które *spadły także w miejscach niedostępnych, wpadły w wodę, lub śniegiem są zasypane*²⁰, nie chciały opuścić mojej głowy. Zacząłem

kombinować: potrafię pracować na danych, analizować mapy, rozmawiać z ludźmi, a z racji moich wcześniejszych zainteresowań znam sprzęt oraz metody poszukiwań. Poza tym jestem uparty i nie poddaję się zbyt łatwo. Kto jak nie ja?

Pod skórą czułem, że los jeszcze pokarze mnie za tę nieskromność oraz lekkomyślność rozumowania. I faktycznie, stało się to szybciej, niż sądziłem. Gdy przymierzyłem się do zebrania i zsyntetyzowania materiałów o spadku pod Pułtuskim, podobnie jak wcześniej robiłem to w odniesieniu do meteorytu Morasko, okazało się to zadaniem przekraczającym moje możliwości. Liczba dostępnych publikacji na ten temat jest tak duża, że odkrywanie całości przypomina tworzenie niekończącej się mapy kosmosu. Wchodzisz w przypis, tam znajdujesz trzy kolejne, a w nich następne i na żadnym etapie nie widać końca tej pajęczyny informacji. Nawet zaprzęgnięcie do pomocy narzędzi analitycznych nie doprowadziło mnie do pomyślnego zakończenia tego zadania. Szczerze mówiąc, czytam o Pułtusku do dzisiaj i cały czas zaskakuje mnie w tym temacie coś nowego.

Praca z mapami to największa przyjemność, ale również nie była prosta. Chociażby z tego względu, że podstawowa mapa, z którą pracowałem, tzn. *Topograficzna Karta Królestwa Polskiego* z 1843 roku, słabo trzyma skalę. Po sparowaniu jej ze współczesną mapą satelitarną wymagała dużej liczby ręcznych poprawek. Po kilku kolejnych korektach oraz wykorzystaniu także innych map historycznych

udało mi się uzyskać wygodne narzędzie do wyszukiwania w rejonie elipsy rozsiania takich miejsc, które w momencie wystąpienia pułtuskiego deszczu meteorytowego były zarośnięte, zabagnione lub zalane, co uniemożliwiało lub znacznie utrudniało podniesienie meteorytów. W przybliżeniu jest to obszar o powierzchni około ośmiu kilometrów kwadratowych.

Osób, że tak powiem: „mocniej zaangażowanych w temat pułtuski”, jest raptem kilka. Poza Astrokosmo i Profesorem, którzy aktywnie działają medialnie, pozostali nie lubią rozgłosu i trudno zdobyć do nich kontakt. Jednak od słowa do słowa, z rozmowy na rozmowę, a następnie ze spotkania na spotkanie, powoli poznawałem te niezwykle osoby, ich pasjonujące historie i doświadczenia. Jednocześnie czerpałem w ten sposób wiedzę, której nie ma w żadnych książkach. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że stąпам po krawędzi kosmicznego wiru, który już mnie nie wypuści.